

№ 52 Rok XXI.

Dnia 16 (29) Grudnia 1900 r.

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Henryk Sienkiewicz.



## Jubileusz Henryka Sienkiewicza.

W dniu 22-im grudnia r. b. na samym schyłku XIX wieku, obchodziliśmy z niezwykłą uroczystością dwudziesto-pięciolecie działalności autorskiej genialnego pisarza, który nie tylko wśród nas, ale w całym świecie cywilizowanym, cieszy się rozgłosną sławą, uznaniem i miłością, tak umiał dziełami swemi zjednać serca swoich i obcych, starszych i młodszych, bogatych i ubogich, więcej i mniej wykształconych.

Po uroczystem nabożeństwie, odprawionem w kościele Św. Krzyża przez J. E. biskupa Ruszkiewicza, odbył się w Ratuszu o godz. 1-ej świetny i liczny raut, na którym w obecności przedstawicieli literatury i sztuki z różnych krajów, Komitet Jubileuszowy z biskupem na czele, wręczył jubilatowi akt darowizny majątku Oblęgórek w Kieleckiem, zakupiony ze składek zebranych za zezwoleniem Władzy wśród całego społeczeństwa; chciało ono w ten sposób dać mu trwały znak swej wdzięczności, ofiarując kawałek ziemi rodzinnej, którą nieraz tak pięknie opisał i na którą zdołał siłą swego talentu zwrócić uwagę całego świata. Cztery dziewczynki w bieli podało mu 4 ogromne księgi z podpisanymi ofiarodawców.

Majątek Oblęgórek leży o 13 wiorst od Kielc, w malowniczym położeniu, posiada piękny park i dom wygodny, uporządkowany, odnowiony i upiękaszony staraniem Komitetu i licznych wielbicieli autora. Na zakończenie uroczystości jubileuszowych, w Teatrze Wielkim dano wieczorem wspaniałe przedstawienie, na którym odegrano ostatni utwór jubilata, wesołą komedię z dawnych czasów p. t. Zagłoba swatem. Po przedstawieniu odbył się raut w Salach Resursy Kupieckiej.

Ten uroczysty obchód, ten hołd oddany przez swoich i obcych, temu pisarzowi, który przed 25-ciu laty był nieznanym nikomu, skromnym młodzieńcem, niech zostanie w waszej pamięci jako świadectwo, że wielkie czyny i zasługi w dziedzinie ducha i myśli, w dziedzinie sztuki i nauki, są również cenione i czczone, jak zwycięstwa i odznaczenie się na innych polach.

\* \* \*

Nie będziemy tu wyliczać tytułów licznych dzieł Sienkiewicza, ani ich streszczali, niektóre z nich znacie już w ustępach, a wszystkie poznać nieza długo z historii literatury i z samych książek. Wyliczymy tylko w porządku alfabetycznym, dla wiadomości waszej, na jakie języki przełożone już zostały dotychczas wszystkie lub niektóre jego pisma, co świadczy najlepiej, że cieszy się sławą, którą niewiele pisarzy współczesnych z nim dzieli. A więc: na angielski (Wielka Brytania i Ameryka północna) armeński, bułgarski, chorwacki, czeski, duński, francuski, grecki (współczesny), hiszpański, litewski, łaciński („Pójdźmy za nim”), niemiecki, portugalski, rosyjski, serbski, słoweński, szwedzki, włoski i wreszcie na volapüick. Niedawno, jak doniosły dzienniki, odczytał z uznaniem utwór jego „Quo Vadis” sędziwy Ojciec Święty, Leon XIII-ty i udzielił autorowi swego błogosławieństwa.

Jest też Sienkiewicz tak szczęśliwy, że w sile wieku osiągnął to, czego pragnął Mickiewicz, a co dla niego ziściło się dopiero po śmierci.

„O, gdybym kiedy dożył tej pociechy,  
Żeby te książki zbłądziły pod strzechy...  
Gdyby też wzięły wieśniaczki do ręki,  
Te księgi proste, jako ich piosenki.”

Większość bowiem ksiąg autora „Potopu” znalazła wśród ludu wiejskiego ogromną poczytność i uznanie.

Henryk Sienkiewicz urodził się dnia 4-go Maja 1846 r. w Woli Okrzejskiej w pow. Łukowskim, z ojca Józefa i matki Stefani z Cieciszowskich. Lata dziecińne spędził

w przyległym majątku, Grabowcach, skąd rodzice jego po dokonaniu działań rodzinnych przenieśli się do wsi Węży-czna koło Stanisławowa i następnie do Warszawy. Tu pobierał nauki szkolne, uczęszczając do gimnazjum II-o, a od klasy 7-ej do IV-go, mieszczonego się wówczas przy ulicy Królewskiej. Po skończeniu gimnazjum rok przebywał na wsi, potem wstąpił do b. Szkoły Głównej warszawskiej na wydział filologiczny, sekcję historyczną i już jako student poświęcił się pracy literackiej. Po ukończeniu studiów, chociaż przeważnie zamieszkiwał i zamieszkuje dotąd w Warszawie, jednak odbył kilka wielkich podróży po Ameryce północnej i Afryce wschodniej, a w ostatnich czasach znaczną część każdego roku spędzał w Zakopanem i w różnych miejscowościach Europy.

W numerze dzisiejszym podajemy portret jubilata i szereg fotografii z różnych lat życia; widzimy go na nich jako ucznia, studenta, młodzieńca, wreszcie na ostatniej — siedzącego w swym gabinecie przy ulicy Wspólnej Nr. 24. Przypominamy, że w N-rze 5 ym „Wieczorów” z r. 1898 daliśmy jego portret wraz z ukochanymi dziećmi Heniem i Dzinia. Obecnie młody pan Henryk kończy, jako zdolny i pilny uczeń, gimnazjum Św. Anny w Krakowie, a panna Jadwiga, młodsza od brata, przebywa przy ojcu w Warszawie, pod stałą opieką babki pani Szetkiewiczowej, gdyż matkę, niestety, stracili w dzieciństwie.

Wielki nasz pisarz kocha niezmiennie dzieci i młodzież, najlepszym tego dowodem jest, że nieraz robił je bohaterami swych ślicznych i rzewnych obrazków („Janko Muzykant,” „Jamioł” „Z pamiętników poznańskiego nauczyciela”) i w powieściach swoich często o nich wspomina, zwłaszcza o tych, którym nie jest dobrze na świecie.

Dowodem wielkiej życzliwości dla młodego pokolenia jest poniekąd i ta okoliczność, że pomimo licznych swych zajęć, napisał na prośbę naszą

### list dla czytelników Wieczorów Rodzinnych

w którym w odpowiedzi na zapytanie: czem pragnął być będąc młodym chłopcem? wyjaśnił jakie marzenia żywił w latach pachołeczych, kiedy był waszym rówieśnikiem i jakie książki wywarły na niego wówczas największe wrażenie.

List ten, który niezawodnie wszyscy czytelnicy nasi przeczytają z najwyższą ciekawością, umieścimy w N-rze 1 „Wieczorów” z roku przyszłego, 1901-go, pragnąc uświetnić nim początek pierwszego rocznika naszego pisma w XX-m wieku.

## Kartka z dzienniczka księżniczki Elżuni.

(Dokończenie).

*Dnia 20 stycznia R. P. 1769.*

Już powróciliśmy do Warszawy, a w mojej głowie taka zawierucha od wspomnień różnych, że myśli zebrać nie mogę. Państwo aż do Trzech Króli bawili w Służewie, a cały tydzień świąteczny upływał na coraz nowych uciechach, lecz uciechy te mniej mnie zajmowały, niż spodziewać się należało, a dlaczego?..

Zacznę wszakże po porządku:

Gdy wróciliśmy z kościoła do dworu, pani starościna zaprosiła zaraz gości na obiad, który z tylu potraw się składał, że przeciągnął się aż do zmierzchu; mnie nie nudziło się jednak podczas tej długiej uczty; z jednej strony siedział obok mnie moja stryjeczna, którą rozpytywałam o dwór i znajomych, z drugiej strony dotrzymywał mi towarzysztwa kasztelan Zakrzewski, ten co chwila przerywał odpowiedzi Basiuni jakimś żartem, pełnym dowcipu, naraz zwrócił się do mnie i zapytał:



— Czy waćpanna nie spostrzegła żadnej straty w swoich klejnotach?

Na te słowa poczułam, iż zaczęłam się jak piwonია, gdyż zlekłam się, że księżna pani dosłyszy pytanie, a nie wyznałam jeszcze nikomu o poniesionej stracie. W tej obawie spojrziałam niemal błagająco na kasztelana, lecz ten widocznie nie rozumiał mowy oczu, bo paplał dalej:

— Widzi mi się, że waćpannie nieznane są tutejsze obyczaje; owóż, w wigilię Nowego Roku, godzi się zabrać pokrywom osobie znajomej jakowyś klejnot, a po przyznaniu się do onego grzechu, żądać wykupu. Wyznaję więc, że pierścień księżniczki Elżbiety jest w mojem posiadaniu!

— Chwała Bogu! — szepnęłam — więc go odzyskam?

— Bez wykupu — dodał kasztelan — nie oddam.

Pobiegłam wzrokiem do księżnej pani; zajęta była rozmową, że ani nas widziała; to przekonanie dodało mi śmiałości, zwróciłam się do kasztelana.

— Nie żądajcie za wysokiej ceny, wiedźcie, że szkatuły panieńskie zawdy są ubogie — rzekłam wesoło.

Kasztelan jakoś dziwnie się uśmiechnął, potem wstał i pokreślił w górę pociągnać.

— By was, księżniczko, kłopotu nie nabawić, dukatów żądać nie będę, zamiast jeno proponuję — odparł. Poczem zwrócił raptem rozmowę na inny przedmiot, począł dopytywać Basiunię o króla i panów, a ona mówiła, że miłościwy pan niezdrowszy, że na zamku przyjąć nie był.

Gdy wstaliśmy od stołu, pani Służewska powiodła gości do bawialni, a ja z Basiunią siadłyśmy wedle kominka i szeptałyśmy sobie, ale już nie o dworze. Teraz Basiunia wypyttywała mnie; musiałam jej opowiedzieć, co każdego dnia robiłam podczas mego pobytu w Służewie, gdy ona w mieście bawiła; rozpytywała mnie nawet, co jadłam, jak spałam, o czem rozmawiałam i z kim najczęściej?

Wtem, usłyszałyśmy pośpieszne kroki, lecz ciche, zdradzające, że któraś z pań zbliża się do nas. Słuch nas nie omylił: po chwili na progu sali jadalnej ukazała się pani Górską.

— Elżuniu, księstwo cię wzywają — odezwała się głosem zalterowanym.

Podniosłam się natychmiast, zaniepokojona wezwaniem państwa i głosem wojewodziny.

— Dokąd mam się udać? — zapytałam.

— Do zbrojowni — odparła.

Basiunia spojrzała na nią przestraszona, ale mnie te słowa nie zdziwiły: wiedziałam, iż we dworze służewskim nazwę zbrojowni nosi gabinet imię pana starosty, którego ściany w broń rozmałą, hełmy i pancerze przystrojone. Z bijącym sercem pośpieszyłam jednak i trochę błada zatrzymałam się na progu zbrojowni, lecz spojrzawszy przed siebie zbladłam bardzo jeszcze. Obok księstwa ujrzałam kasztelana Zakrzewskiego, który trzymał w palcach mój własny sygnet.

— Zdradca! — pomyślałam — więc mnie oskarżył, będzie teraz konfuzya.

Znałam surowość księżnej pani w sądzeniu spraw, odnoszących się do nieporządku; niestety, otrzymywałam częste pośmiewania za niestaranność co do rzeczy, które moją własnością nazywać mogłam; toć gdybym miłowała porządek, kasztelan nie byłby znalazł sposobności wypłatania mi takiego figla; figiel mu wybaczyłam, lecz przez myśl nie przeszło mi nawet, aby podobnie dystygowany kawaler potrafił się poniżyć do roli oskarżyciela; bolało mnie to, a prztem nie wątpiłam, że księżna pani wobec kasztelana wypowie mi reprimandę za mój nieporządek. Spuściłam oczy, nie mając odwagi patrzeć ani na imię pana Zakrzewskiego, mego gnębiiciela, ani na rodziców i stałam na miejscu nieruchoma, jak owa żona Lotowa, gdy w słuł soli za ciekawość zamienioną została.

— Zblił się waćpanna — usłyszałam po chwili.

To ksiądz pan mnie wzywał, ten dla córek był zawsze o wiele łaskawszy, niż księżna pani, nie pocieszył mnie jednak jego głos łagodny.

— Księżna pani nie daruje — mówiłam sobie w duszy. Jednakże postąpiłam naprzód, dając dowód, że nie słuł soli; szłam wolno, z oczyma spuszczone; nieśmiała, jak trusiątko i nie podnosząc powiek, zatrzymałam się przed księstwem.

Jakom się potem dowiedziała, patrzali pono oboje na mnie z wielką miłością przez chwilę; ja drżąca, jak osina, czekałam pośmiewania, lecz jakież było moje zdziwienie, a zarazem radosne pomieszanie, gdy zamiast ostro mnie zganić za mój nieporządek, za nieszanowanie klejnotów familijnych, ksiądz pan przemówił tonem uroczystym i wzruszonym widocznie w te słowa:

— Imię kasztelana Zakrzewski, syn serdecznego mego przyjaciela, oświadczył się przed chwilą o rękę waćpanny; tak ja, jak szanowna matka waćpanny, nie przeciw temu związkowi nie mamy, raczej cieszyć się będziemy, gdy ród tak zacny z naszym się połączy, jeśli więc, córko, nie lękasz się poważnych obowiązków, jakie godność kasztelanowej i święty stan małżeński na twe barki włoży, podaj rękę kasztelanowi; i kłękniście razem u nóg naszych, abyśmy błogosławieństwa rodzicielskiego wam udzielili.

Teraz dopiero ośmieliłam się podnieść powieki.

— Jam wszakże nie z brzegu, mam starszą siostrę — odparłam. — Jej najprzód wianek z rozmarynu uwić powinienam.

— Starsza siostra waćpanny do klasztoru się wprasza, żalu do aśki mieć nie będzie, — odezwała się również uroczystym głosem księżna — chętnie uwije dla młodszej siostry wianek, a kasztelana do ołtarza doprowadzi; odpowiedz przeto waćpanna szczerze kasztelanowi, czy godzisz się na jego prośbę.

Widząc pogodne oblicza obojga państwa, wyciągnęłam dłoń do kasztelana, który pochyliwszy się ku mnie, szepnął:

— Więc pierścień zatrzymać mogę?

Nie odpowiedziałam na to, tylko ukłękłam razem z nim u nóg księstwa, którzy nas pobłogosławili, a potem księżna pani ogarnęła mnie ramieniem i przycisnąwszy do piersi, pocałowała w czoło czule, czulej niż zwykle, szepcząc głosem wzruszonym te słowa:

— Wcześniej rozpocznieś Elżuniu życie trosk i pracy, boć obrączka ślubna nie do płochych zabaw otwiera niewieście podwoje, nie do swobody i uciech, ale do poważnych obowiązków.

Co było potem, to już niewiele pamiętam, wiem tylko, że kasztelan pierścienka mego nie oddał, lecz włożył mi na palec o wiele kosztowniejszy, że podczas uczt wieczornej ksiądz pan oznajmił wszystkim obecnym o naszych zaręczynach i że imię pan Służewski wznosił toast na naszą cześć, który mnie wiele konfuzyi nabawił, bo musiałam wszystkim kolejno dziękować.

Od wieczery wracaliśmy parami a muzyka grała poloneza, mnie prowadził pod ramię kasztelan Zakrzewski; gdy wkroczyliśmy do sali przyjąć, ktoś krzyknął:

— Panowie, figura z szablą!

Wołaniu temu odpowiedział chrzęst mieczy, nagie ich ostrza migotały nam w oczach, poczem panowie oparli końce szablów wzajem jedno o drugie, utworzyli sklepienie. Puściwszy dłonie panów my niewiasty podałyśmy sobie ręce i przeszłyśmy długim węzłem, następnie każdy z panów przyklęknął przed swoją damą i oddał jej, jak jeniec swojemu zwycięzcy, szablę, poczem białogłowy taką samą figurę utworzyli. Z radością wzięłam do ręki szablę kasztelana, a wzniosłszy błyszczące ostrze w górę, wpatrzyłam się w groźną stal i roiałam, że sława, którą rycerz zdobędzie, spłynie i na mnie w części. Gdy oddawałam broń kasztelanowi, zapytałam go:

— Mości panie, wyznajcie szczerze, czyście mnie oskarżyli przed księżną, że pierścień mój porzuciłam i uławiłam wam jego zdobycie?

— Czym znalazł pierścień, czy od was księżniczko go dostałem, tegom nie wyjaśnił księstwo — odparł kaszte-



lan — jeno pochyliwszy się do nóg obojgu, pokazałem wasz klejnot i rzekłem: — Pozwólcie mi miłościwi państwo ten pierścień sobie zatrzymać, a imć pannie Elżbiecie ofiarować ten z brylantem świecącym jasno, jak jej cnoty i uroda i prosić was, byście mnie za zięcia swojego uznać chcieli!

Do samych Trzech Króli zabawiliśmy w Służewie, a tydzień świąteczny, tam spędzony, był jedną ciągłą zabawą.

Siódmego stycznia powróciliśmy do domu, czemu byłam już rada.

Teraz u nas gwarno, a najgwarniej w komnatach księżnej pani, w których cały sztab krawczyń zasiada, szyją, krają, gotują moją wyprawę. Księżna pani, Basiunia i ja pomagamy dziewczętom, ja siedzę tuż przy księżnej pani, która rozpoczyna zwykle ze mną poważny dyskurs o czekających mnie obowiązkach, jako obywatelki i pani domu, a kończy zawsze temi słowy:

— Pamiętaj waćpanna, że obrączka ślubna nie do uciech, do swobody, do próżnowania wrota otwiera, ale do pracy, do zależności i do poważnych obowiązków; pamiętaj też o tem, że nie za białą rączkę, za szczebiot wesoły, za sukienkę strojną, mąż i sąsiedzi będą cię chwalili, ale za chleb dobrze upieczony, schludne mieszkanie i dom gościny, za służbę zawsze sytą i wesołą, za jasne twarze poddanych.

Temi zacnemi słowy kończę mój raptularzyk.

Przepisała T. J.

Do pow. „Testament Dziwaka.“



Piąta partnerka jedzie pociągiem milionerki.

## Do pamiętnika.

Nie pytaj próżno o przyszłe losy, —  
Nie pytaj!

Lecz otwórz ducha pogodne oczy  
Na wszystko piękne, co cię otoczy;  
W promieniach słońca i w kroplach rosy  
Zakwitaj!

Nie zdzieraj szczęścia urojen wiotkich.  
Nie zdzieraj!

Ani nie badaj nazbyt ogłędnie,  
Czy ten kwiat wonny w ręku ci zwiejdnie,  
Lecz póki pora, z kielichów słodkich,  
Miód zbieraj!

Przechowuj w sercu szlachetną wiarę —  
Przechowuj!

I żyj miłością swego narodu...  
A w chwilach smutku, w chwilach zawodu  
O idealną oprzyj się wiarę,  
Jak powój.

A. Asnyk.

## TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A.

przekład M. D.

(Dokończenie).

### Nieszczęśliwa omyłka.

Zemdlenie Kymbala w biurze telegraficznym w Olimpii minęło prędko; nie zapominając o swej roli partnera, przeczytał zaraz otrzymaną depeszę, krótką lecz wyraźną:

„Punktów dziewięć—Południowa Dakota—Yankton”

Jakkolwiek tylko Stan Idaho i Montana dzielą Waschington od Dakoty, dziennikarz nauczony już doświadczeniem woli bez zwłoki puścić się w drogę. Ziemie te były mu zupełnie obce, a że niezwykle piękne przedstawiają widoki, więc stał przeważnie na kładce z tyłu wagonu. Minawszy Columbia z obszerną pustynią w okolicy jeziora Silk, wjechał pociąg na terytorium Idaho, gdzie w odwiecznych lasach, w których siekiera trzeba torować sobie drogę, kryją się jeszcze dość liczne plemiona Indyjskie.

Im dalej ku wschodowi, przedstawiał się kraj coraz więcej górzysty, a już w Montana znaleziono się wśród najwyższych wyniosłości łańcucha Gór Skalistych. Wodząc okiem pełnym zachwytu na coraz to inne, a zawsze imponujące widoki, nie mógł też Kymbale pozostać obojętnym dla geniuszu inżynierów amerykańskich, którzy przewyciężyli wprost bajeczne trudności w przeprowadzeniu tu linii kolei żelaznej.

Wyszedłszy zwycięzko z zapasów ze straszną burzą, pociąg przybył szczęśliwie rankiem 21 czerwca do miasta Heleny, już na wschodniej pochyłości gór, a stąd po parogódnym spoczynku, wyruszył ku północnej Dakocie, gdzie rozległe pastwiska ułatwiają chów bydła, lecz zbyt już ostry klimat mało sprzyja rolnictwu. Kymbale wie, że główne tu miasta są: Fort-Riley i Linkoln albo Bismark, jak go chętniej nazywają koloniści niemieccy, ale zwiedzić ich teraz nie ma ochoty, woli raczej, zamiast wprost podążyć do Yankton, zwrócić się na Valley City do Fargo już na pograniczu Stanu Minnessota.

Pierwotny plan, jaki sobie ułożył, przepędzania dnia całego w Fargo i jego okolicy zmienia ostatecznie, dowiedziawszy się o wielkim meetingu, mającym się odbyć naza-





Henryk Sienkiewicz w różnych epokach swego życia.

jutrz po południu w Yankton. Pominąć sposobność uczestniczenia w takim zebraniu nie wypada mu przecie jako kronikarzowi Trybuny. Więc też już wczesnym rankiem 21-go siedział w wagonie, dążąc do Medary w Południowej Dakocie.

Wszystko składało się jaknajlepiej, bo nawet przerwana dotychczas linie kolei z Medary do Siuxs Fals City ukończono, i właśnie tegoż dnia miał się odbyć akt jej otwarcia.

Tymczasem o godzinie 11-ej przy samej stacji Medara pociąg stanął i pasażerowie poczęli tłumnie opuszczać wagony.

— Czy nie jedziemy tym pociągiem dalej? — zapytał kronikarz urzędnika kolejowego, którego spotkał na peronie.

— Nie, pociąg ten zatrzymuje się tutaj.

— Więc to nie dziś otwartą jest ta linia?

— Właściwie dopiero jutro...

Przeciwność ta podrażniła Kymbala. Przestrzeń 50-o milowa dzieliła obie te stacje, więc choćby pocztowymi końmi nie zdążyłby już na ów ciekawy meeting. Ale oto spostrzega na samej stacji pociąg, którego dymiąca lokomotywa wskazuje, że przygotowana jest do drogi. Zatem pyta jeszcze urzędnika:

— A tamten pociąg?

— O-o-o — tamten pociąg... — brzmi dziwnym jakimś tonem odpowiedź.

— Więc on zostaje na miejscu?

— O nie, rusza o 12-ej minut 13-cie.

— Do Yankton?...

— Oho... do Yankton — odpowiada urzędnik, kiwając głową. Lecz w tej chwili przywołany przez zwierzchnika nie mógł już dać dokładniejszego objaśnienia dziennikarzowi, który zostawszy sam na peronie, popatrzył jeszcze chwilę na pociąg składający się tylko z lokomotywy i dwóch furgonów towarowych.

— Ot, wiem co zrobię — pomyślał wreszcie — wsunę się niepostrzeżony do jednego z tych wagonów towarowych, a po przybyciu na miejsce wytłomaczę się z tego małego nadużycia — teraz już za mało na to czasu.

Projekt ten udało mu się przeprowadzić bez trudu, bo-wiem dworzec był zupełnie pusty, a tylko przy lokomotywie stał zajęty maszynista z palaczem. W krótką chwilę potem rozległ się świst — i ruszono z miejsca z niezwykłą szybkością. Szybkość ta wzrastała z każdą minutą, aż wreszcie Kymbale trochę zaniepokojony wyjrzał okienkiem na przód ku lokomotywie.

— Co to znaczy? — zawołał w tej chwili — niema tam nikogo — nikt tego pociągu nie prowadzi... czyżby ci ludzie powypadali?... Wielki Boże! — krzyknął naraz — co widzę!.. Oto po tych samych relsach biegnie naprzeciw inny pociąg... Katastrofa nieunikniona — co tu robić!..

W kilka sekund lokomotywy biegnące z całym rozpędem już się zwały... Piekielny huk, trzask i rozpryskujące się na wszystkie strony szczątki rozbitych pociągów, wybuch kotłów, lecące iskry z pieców, oto straszny obraz, któremu z obu stron plantu kolejowego zawtórowały głośne okrzyki, wiwaty i oklaski zebranych tam tysięcy ludzi.



Byli to ciekawi, którzy urządzili sobie tę kosztowną, iście amerykańską przyjemność, oglądania rozbicia dwóch pociągów w najszybszym ich biegu, obchodząc w ten szczególny sposób otwarcie nowej linii między Medarą a Sioux Falls City.

Naturalnie oba pociągi miały być puste, i nikt nie przypuszczał tajemniczego ukrycia się w jednym z nich kronikarza Trybuny.

Lecz uspokójmy się o jego losy. W chwili stanowczej, nie czekając katastrofy, wyskoczył szczęśliwie z wagonu. Wprawdzie nie obeszło się bez silnych obrażeń, ale doktor, który mu zaraz na miejscu udzielił pomocy, zapewnił, że życiu jego nie grozi niebezpieczeństwo.

### Ostatnie rzuty kości w grze Hypperbona.

Jakaż była radość piątych partnerek, gdy zaledwie dojechały do Richemond, już odebrały wiadomość o uwolnieniu Maksa Real'a z Więzienia.

— Widzisz, moja najmilsza — wołała Jowita, klaszcząc w ręce — czyż to nie widoczna wola Boża!.. I pomyśleć, że są ludzie na tyle głupi, którzy tej Opatrzności łaskawej nie uznają nad sobą, a ileż my Jej winniśmy wdzięczności.

— O tak, dobry Bóg nie zapomina o nas gdy tylko my o Nim pamiętamy — odpowiedziała Helena serdecznie wzruszona.

Mając teraz jeszcze kilka dni wolnych, a nadto myśl swobodną, zwiedzały przyjaciółki miasto Richemond i jego okolice. Lecz choć starały się nie zwrócić na siebie uwagi, wszyscy się niemi zajmowali, a gdy jeszcze 20-go nadszedł telegram od Tornbrocka z wiadomością, że otrzymanych punktów dwanaście posuwa Helenę Nałęcz do 56-ej przedziałki, Stan Indiana, dzienniki pomieściły jej portrety, jako już pewnej dziedziczki milionów Hypperbona. Aby więc uciec od urządzanych na jej cześć owacy, postanowiła Polka wyjechać coprędzej na nowe miejsce pobytu.

Właśnie zmierzały obie do kasy na dworcu kolei, by zakupić bilety, gdy podszedł do nich marszałek dworu Mistress Migglesy Bullen, znanej w Ameryce milionerki, która podróżuje tylko własnym pociągami, i która, jadąc właśnie do Indianopolis, uprzejmie zaprasza do siebie piątą partnerkę.

Jakże tu nie przyjąć takiej grzeczności?... Więc też Helena z Jowitą przeszły do pociągu milionerki, urządzonego z taką wytwornością i zbytkiem, że nie ustępował niczem pociągom królewskim i cesarskim.

Obok swych milionów pani Bullen była kobietą wielkiej dobroci serca i inteligencji; to też serdeczność, z jaką powitała obie skromne panienki, zjednały jej od razu pełne ich zaufanie. W kosztownie urządzonej salonie, lub w sali jadalnej przy wykwinnych potrawach śniadania i obiadu, zapominając nieledwie, że są w podróży, przegawędziły dzień cały, a gdy stanęły wieczorem w Indianopolis, skąd pani Bullen jechała dalej do Chicago, i w szczerzych słowach wyraziły jej swą wdzięczność, zacna dama pożegnała je z czułością matki i wraz życzeniami wygranej, obdarzyła każdą pamiątkowym brylantowym pierścieniem.

Już dwa dni przepędziły w stolicy Indyan, która niegdyś była głównym siedliskiem dzikich plemion, dziś handlem i przemyśłem stoi na czele ziem Unii, — gdy wracając z przechadzki spostrzegły z wielką radością przed swym hotelem Maksa Real'a.

— A toż prawdziwa niespodzianka! Skądże się pan tu wziął? — zawołała Jowita, biegnąc ku niemu, gdy Helena więcej powściągliwa, tylko żywym rumieńcem zdradziła, że i jej miłym był widok młodego przyjaciela.

— Skąd się wziąłem?... — odpowiedział Real wesół. Oto, wstąpiłem jadąc do Philadelphii, by zająć miejsce nieszczęsnego Crabba, osadzonego teraz w Więzieniu.

Przeczcucie mówiło mi, że już zastanę tu panie, więc nie mogłem sobie odmówić przyjemności powitania ich...

Tak wznowiły się przyjemne chwile bliższego poznania w Saint-Louis, — chwile, w których młody artysta miał sposobność upewnienia się co do wzajemności uczuć Heleny. Wspominano przeszłość, mówiono więcej jeszcze o przyszłości, przyczem pocziwa Jowita odgrywała z całą rezygnacją niezbyt zajmującą rolę cioci opiekunki. Codzienne spacery po mieście i najbliższej okolicy urozmaicały czas; wreszcie przedsięwzięto dalszą nieco wycieczkę do Spring Walley, zachwalonego z pięknego położenia.

Lecz niestety przyjemność ta miała być zbyt drogo okupioną. Oto zajęta sobą wesółą i szczęśliwą trójka, nie zauważyła nawet, że już od samego miasta śledzoną była przez czterech ludzi podejrzanego wyglądu, którzy, gdy młodzi przeprawili się przez rzekę i znaleźli w oddalonym, cienistym lesie, rzucili się na nich, usiłując ich obezwładnić. Nie byli to wszakże, jak się później na śledztwie okazało, zwykli rabusie, lecz wysłani przez przeciwną partję niegodziwcy którzy mieli zamiar uprowadzić piątą partnerkę, aby uniemożliwić jej dalszą grę. Real, jak każdy Amerykanin, miał zawsze broń przy sobie, lecz choć wystrząsł jego z rewolweru powaliły już dwóch opryszków, on sam otrzymał pchnięcie nożem w piersi i krwią zalany padł bez przytomności.

W tak krytycznej chwili, cóż miały począć bezbronne kobiety, jak nie wołać z całych sił o pomoc, której jednak na prawdę nie spodziewały się w tym lesie, zdala od mieszkań ludzkich. Opatrzność wszakże widocznie czuwała nad nimi — bo oto nadbiegają myśliwi, polujący właśnie w pobliżu, a na ich widok pierzchają złoczyńcy, pozostawiając nawet rannych swych towarzyszy...

Biedna Helena zalana łzami klęknęła przy tym który w jej obronie leży oto teraz, kto wie, zabity może. Ach, czegoby nie dała za pewność, że tak nie jest — że czy te jeszcze otworzą się — że usta przemówią...

Tymczasem jeden z myśliwych sprowadził ze stacyi doktora, który udzielił rannemu pierwszego opatrunku i choć znalazł ranę głęboką, zapewnił, że przy odpowiednim staraniu, może w krótkim stosunkowo czasie wrócić do zupełnego zdrowia. Pod jego też opieką przewieziono Réala do miasta, a Helena postanowiła nie odstępować teraz obrońcy swego, czuwać nad nim dniem i nocą — chociażby miała opuścić grę przed jej ukończeniem; — bo czemże dla niej teraz nawet krocie milionów wobec groźnego stanu tego, którego umiłowano jej serce.

Ale Jowita nie przestała myśleć za nią praktycznie, i już wyrozumowała sobie, że jej Hela może i tak wygrać partję, niechby tylko ten rzut kości, który wkrótce nastąpi, dał jej ni mniej ni więcej, tylko potrzebnych siedm punktów.

Nie została przecież długo w miłym dla siebie złudzeniu. Już od 9 ej godziny dnia 24-go roznosiciele gazet i telegramów poczęli obwoływać z wielkiem hałasem po ulicach, że siódmy partner, nieznanym X. K. Z., otrzymanym dwunastu punktami, zdobył sześćdziesiątą trzecią przedziałkę.

A więc ostatecznie sztandar czerwony powionął nad Illinois, 14 razy powtórzonem w szlachetnej grze po Zjednoczonych Stanach Ameryki.

### Dzwony w Oakswoods.

Wiadomość o tym ostatnim rzucie kości była jak uderzenie piorunu. Jakkolwiek człowiek z maską miał wyraźne szczęście przez cały ciąg gry — niewielu było takich, którzy wierzyli w jego wygraną, niewielu też odważało się stawiać na niego większe czy mniejsze sumy; — to też w miarę doznanego teraz zawodu, wzbudziła się na nowo uśpiona nieco ciekawość. — Teraz już przecie musi się dać poznać, teraz nie wolno mu już okrywać się jakąś tajemniczością. Ma prawo wymagać tego cała Ameryka, tak żywo



zainteresowana grą, mają większe jeszcze prawo współpartnerzy, którzy biegali jeden przez drugiego po wielkiej arenie Stanów Zjednoczonych. Na to tylko, by wrócić do domów utrudzeni i z pustymi kieszeniami. A nim upłynął tydzień, wszyscy już byli na miejscu. Nawet Réal, którego rana podgoiła się znacznie, wrócił pod opieką Heleny i Jowity do Chicago. Lecz gdy wsparty na ramieniu Tomiego wszedł do swego mieszkania, biedna matka dowiedziawszy się dopiero teraz, że obrońcą piątej partnerki był jej syn ukochany, okropnie się przeraziła. Wprędce jednak uspokoił ją Maks co do stanu swego zdrowia i zapewniał po wiele razy, że niczem były mu cierpienia poniesione dla tej, która, jak ma nadzieję, stanie się wkrótce szczęściem jego życia.

Zaraz też nazajutrz złożyły Helena i Jowita pierwszą wizytę pani Réal, która przyjęła je z tym wdziękiem i uprzejmością, jaką sobie wszystkich zniewalała. Niebawem obie sieroty ujrzały w niej nie tylko życzliwą sobie istotę, lecz drugą, kochaną matkę. A skoro młodzi zamienili wreszcie pierścionki, i ona jako naręczony błogosławiła, czuła się w tej chwili tak szczęśliwą, jak wyobrażała sobie, że będzie, gdy jej jedynak wygra partję Hyperbona. Bo, że wygrał wielki los na loteryi życia, dostając taką żonę, jak ta Polka, o tem już teraz była przekonana.

W jakim usposobieniu wrócił Milner ze swym olbrzymim Crabbem z więzienia, wolimy przemilczeć — gdyż to sobie każdy łatwo wyobrazi. — Nie uchylimy też całkowicie zasłony z mieszkania Titburów, którym te mroczne kąty po wspaniałościach w hotelu Excelsior stały się wstrętne — a więcej jak skromne potrawy, przysposabiane przez brudną służbę nie do jedzenia, — i którzy całe dnie czynili sobie teraz nawzajem wymówki, że należeli do owej gry, gdzie wszystko było oszustwem, obliczonem na zrujnowanie takich, jak oni biedaków.

Pretensyi tych nie miał Kymbale — i choć rzeczywiście byłby chętnie wygrał partję, twierdził, że jednak nie czuje się pokrzywdzony, odbywszy tak dalekie i interesujące podróże.

A Urrican? O, niechże Bóg broni każdy okręt, by znalazł się na morzu w burzę podobną tej, jaka szalała w piersi komodora. Wprawdzie nie zdążył on jeszcze dojechać do Newady i zatopić się w Studni, do której go gra zepchnęła, studni, których nie brak w owym kraju rozkopywanym i podziurawionym przez poszukiwaczy złota. — Wiadomość o zakończeniu gry zastała go w Great Salt Lake City, lecz całą powrotną drogę wymyślał wszystkim dokoła, a już najwięcej rzucał się na tego niegodziwca Tornbrocka, który się uwziął na niego i same najgorsze przeznaczał mu przedziałki. Ale on mu tego nie daruje, o nie!...

Tymczasem po pierwszym tygodniu, minął już drugi od ukończenia gry, a X. K. Z. nie dawał się poznać. Ile z tego powodu był udręczony Tornbrock, jak mu nie dawano spokoju, jak go czyniono za to odpowiedzialnym, o tem on sam wie najlepiej. W końcu znaleźli się tacy, a na ich czele stangli: Urrican, Titbury i Milner jako pełnomocnik Crabba, którzy odgrzaali się, że wystąpi sędownie przeciw nadużyciom w wykonaniu testamentu zmarłego Hyperbona, i domagali się, aby, jeżeli X. K. Z. nie przedstawi się niezwłocznie, rejent Tornbrock prowadził grę dalej z pominięciem go, jako nie istniejącego wcale...

Aż naraz 15-go lipca, w trzy tygodnie po ostatnim rzucie kości, zaszedł wypadek wielkiej doniosłości. Oto dnia tego o 7-ej rano, obiegła miasto wieść wstrząsająca, że na cmentarzu w Oakswoods, z wieżyczki mauzoleum zmarłego członka Klubu Dziwaków, rozlega się głośnie bicie w dzwony.

### Ostatnie dwiactwo dziwaka.

W jednej chwili, jakby pod działaniem prądu elektrycznego, poruszyli się wszyscy mieszkańcy Chicago. Wielki i mały, bogaty i ubogi, biegł co mu sił starczyło na

cmentarz Oakswoods. Niebawem znane nam mauzoleum zostało znów otoczone przez wielotysięczny tłum tak, jak w ów pamiętny dla wszystkich dzień pogrzebu. Z trudnością przez tę zbitą masę przecisnęli się wybitniejsi obywatele miasta z rejentem Tornbrockiem, przedstawicielami władzy urzędowej i wojskowej, członkowie Klubu Dziwaków, a wreszcie partnerzy gry.

Odgłos dzwonów nie ustawał. Wreszcie wnetrze budynku oświetlonego znów rzęsiście, zapełniło się po brzegi, i uroczysta zaległa cisza. Każdy z obecnych wstrzymywał oddech w oczekiwaniu czegoś niezwykłego. Stojącym bliżej wspaniałego sarkofagu, zdawało się nawet, iż słyszą w nim szmery jakoweś, lecz biorąc na rozum przypisywali to złudzeniu tylko.

Nagle, wraz z uderzeniem 11-ej, uchyla się wieko, i oczom na wpół zdumionych na wpół przerażonych ukazuje się, nie tylko żywy i zdrow, ale świetnie wyglądający, członek Klubu Dziwaków William I. Hyperbone.

Jakże to być może?.. Co za cudowne zmartwychwstanie!

O, nie było w tem cudowności żadnej. Po prostu Hyperbone, wbrew opinii lekarzy nie umarł, lecz zapadł tylko w sen letargiczny, z którego się zbudził, gdy jeszcze stróż mauzoleum nie zdążył pogasić światła w dzień pogrzebu. Z jego też pomocą wydostał się z pod ciężkiego pokrycia, a nakazawszy mu najgłębsze milczenie, jednego tylko Tornbrocka wezwał do siebie i udzielił mu wskazówek co do dalszego postępowania. Przedewszystkiem nie chciał, aby świat wiedział, że żyje — i zgodnie z tem, mimo przedstawień rejenta, życzył utrzymać ważność testamentu. Oryginalność, która się teraz sama wytworzyła, była świetnym dalszym ciągiem dziwactwa, którem członek Klubu Dziwaków chciał wślawić się choćby po swej śmierci. Aby jednak i jemu przypadła jeszcze teraz jakaś rola, uczynił dopisek w testamentie, mocą którego, pod tajemniczymi literami X. K. Z., stanął jako partner ubiegający się o swój własny majątek. Jeżeli wygra, wróci do swych milionów, jeżeli przegra, zostanie bez grosza, ale i to jeszcze będzie oryginalność swego rodzaju... Odtąd, jako siódmy partner żył cicho, nie poznany przez nikogo.

Naturalnie osoby, wybrane losem do wielkiej gry, zaciekawiały go przedewszystkiem — a jeśli ani Urrican, ani Crabbe, ani Titbury nie mogli zyskać jego sympatyj, dla Kymbala miał już więcej życzliwości, a już szczególniejsze polubił Réala i Helenę Nałęczównę, i jak sobie przypominamy dał nawet tej ostatniej po dwakroć dowody swej życzliwości pod przybranem nazwiskiem Weldona.

Krótkie to objaśnienie wystarczyło kolegom jego z klubu i wystarczyć musiało wszystkim obecnym teraz w mauzoleum, a gdy każdy pospieszył uściśnąć dłoń jego, Helena z Jowitą wyraziły mu również swe szczerze podziękowanie. Ze zaś Yankesi łatwi są do uniesień, więc znaleźli się tacy, którzy ujęli go na swe ramiona i wynieśli tryumfalnie z cmentarza Oakswoods, tak jak tryumfalnie został tu wprowadzony, trzy i pół miesiąca temu.

A jeżeli nie wszyscy jeszcze byli zadowoleni z takiego rozwiązania sprawy, którą zajął się cały świat współczesny, cóż to właściwie szkodziło dziwakowi? Wszakże wielka gra jest zawsze ryzykowną, i gdy jeden partner wygrywa, drugi z konieczności przegrać musi. Tylko, aby godnie zakończyć szereg swych dziwactw, miał jeszcze Hyperbone przygotowane dwie niespodzianki, które nie miały przejść niepostrzeżenie. Oto najpierw w wigilię ślubu Maksa Réala z Heleną Nałęczówną, składając im swe życzenia, doreczył jako ślubny upominek akt rejentalny, mocą którego oddawał im dziesiątą część swej sześćdziesięcio milionowej fortuny, do której powrócił szczęśliwym wypadkiem losu.

Gdy zaś po skończonej w kościele ceremonii, której obecny był cały świat finansowy miasta Chicago, grono przyjaciół znalazło się w gościnnych progach zacnej pani Réal, William I. Hyperbone, nie już jako pochylony wie-



kiem Weldon, lecz jako odmłodzony, rzeźki, pełen jeszcze sił statecznych mężczyzna, przedstawił Jowicie, promieniejącej szczęściem swą przyjaciółki, a prawdziwie uroczej w stroju druchny, swą prośbę, aby zechciała zostać jego żoną. I zapewne nie zadziwi nikogo, że dziewczę zgodziło się na to szczerze i chętnie.

A teraz, jeżeli czytelnik ma jaką wątpliwość co do prawdziwości opisanych tu wypadków, niechże przede wszystkim przypomni sobie, iż działo się to... w Ameryce.



## Do naszych Czytelników.

Dzisiejszym numerem zamykamy 21-y rocznik „Wieczorów Rodziny” i z tego powodu chcemy pogawędzić z naszymi czytelnikami o tem, jak należy z nim postąpić! Przeczytać książkę to nie wszystko, trzeba ją zachować, aby mózł samemu z niej skorzystać lub też użyczyć innym, którym nie stać na kupowanie lub prenumeratę.

Przedewszystkiem trzeba więc rocznik ten oprawić, choćby najskromniej, gdyż książka nie oprawna, zwłaszcza w większym formacie, daleko się prędzej niszczy. Ponieważ w naszych „Wieczorach” dodatek dla mniejszych dzieci ma osobną numerację, więc kto chce może oprawić Nr. główny i dodatek oddzielnie. W pierwszym tomie będą mieli starsi „Różę bez kolców,” „Testament dziwaka,” „Listy Janka” i inne poważniejsze rzeczy, a z drugiego, cieńszego będzie korzystało młodsze rodzeństwo i ich rówieśnicy.

Dodatki powieściowe nasze umyślnie drukujemy w formacie książkowym, aby utworzyły biblioteczkę „Wieczorów Rodziny” w rozmiarach zwykłych książek, ułatwiających czytanie i pożyczanie. Dodatki radzimy koniecznie oprawić, każdy osobno, lub po dwie krótsze powieści razem. Kto z naszych prenumeratorów czynił to przez lat kilka, to łącznie z premiami posiada już kilkanaście książek, tworzących zawiązek małej biblioteczki, którą każdy powinien starać się złożyć, gdyż ze wszystkich zbiorów, kolekcjonowane książki jest najlepsze i najpożyteczniejsze.

A teraz słów kilka o roku przyszytym:

W dodatku powieściowym damy najprzód powieść rycerską, pełną walk i czynów bohaterskich z epoki dziejowej, która dość dawno nie była poruszana w naszym piśmie, a mianowicie z IX wieku; powieść ta nosi tytuł: „Dzielnictwo Karola Wielkiego” — a następnie „Hrabina,” powieść historyczno-obyczajową Teresy Jądzińskiej z czasów naszych prababek, z początku przeszłego, t. j. XIX wieku.

Do numeru głównego i dodatku dziejowego mamy już zebrany obfity i zajmujący materiał, którym pisaliśmy w prospekcie. Oprócz artykułów poważniejszych, wiadomości ze świata, rozrywek naukowych, ciekawych łamigłówek, oraz kilku nowych w tym rodzaju rzeczy — z dłuższych utworów w I-em półroczu zamieścimy ostatnią część „Róży bez kolców” Z. Urbanowskiej, w której na tle opisu Morskiego Oka, tej perły Tatr, dowiemy się o tajemnicy sir Warburtona, „Paniczyk,” opowiadanie z życia młodzieży Z. Morawskiej, i „Wakacje w Warszawie” W. Marrene-Morzkowskiej. Są to spacerki dwojga rodzeństwa po mieście naszym z ojcem, który im najciekawsze pamiątki pokazuje, uczy jak na nie patrzeć i o ich dziejach opowiada.

W końcu nadmieniamy, że już mamy nowy list Janka Ż. z Transwaalu i kilka kartek z dzienniczka małej podróżniczki Wańdzy aż z wybrzeża oceanu Indyjskiego i Spokojnego.

Wreszcie jako premię na rok 1901-y nie damy już książki do wyboru, lecz jedną z wszystkich oddzielną powieść historyczną lub podróżniczą.

Kończymy tę naszą rozmowę o „Wieczorach,” przesyłając ich czytelnikom najbardziej życzliwie życzenia na rok przyszyty i wiek nowy. Szczęść wam Boże!

## Od Redakcyi.

Dla uniknienia zwłoki w odbieraniu Pisma, prosimy o wczesne nadsyłanie prenumeraty na rok 1901-y wraz z dokładnym adresem, który też przy wszystkich reklamach podawać należy

### PRENUMERATA WYNIOSI:

W WARSZAWIE rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Jubileusz Henryka Sienkiewicza (z ryc.) — Karta z dzienniczka księżniczki Elżuni. — Do pamiętnika, przez A. Asnyka. — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z ryc.) — Do naszych czytelników. Dodatek: Z kalendarza, wiersz przez Maryę Konopnicką. — Pierwsza kolenda. — Dzienniczek Wańdzy. — Rozwiązania łamigłówek. — Skrzynka do listów. — Caloroczny spis rzeczy z roku 1900.





## Z KOLENDĄ.

Pochwalony, w tej świetlicy!  
Daj Bóg pożyć zdrowo!  
Przyszli my tu, kolendnicy,  
Z gwiazdą Trzechkrólową.

A jak są tu dobre dzieci,  
Nad główkami ich zaświeci,  
A jak niema to się wróci,  
Zaciemni się i zasmuci  
Gwiazda Trzechkrólowa.

A ta gwiazda szła z daleka,  
Ścieżynką po niebie,  
Pamiętała, że jej czeka  
Ziemia ta w potrzebie.  
Pamiętała o tym dworze,  
Przyniosła mu jasną zorzę —  
Pamiętała o tej chacie,  
Przyniosła jej kołacz w szacie —  
Gwiazda Trzechkrólowa.

A my gwiazdę pozdrowili:  
— Zawitała jasności!...

Do siebie ją zaprosili  
Na kolendę w gości.

Poszła z nami, sierotami,  
Jaśniejąca promieniami,  
Poszła z nami w tę gościnę,  
Rzucająca blaski sine  
Gwiazda Trzechkrólowa.

Gdzie zajdziemy, to zajdziemy,  
Witają nas wszędy,  
Ludzie radzi tej czeladzi,  
Co śpiewa kolendy:

Idziem sobie polem, drogą,  
W każdej chacie nas wspomogą —  
A przed nami idzie zorza,  
A nad nami jasność Boża,  
Gwiazda Trzechkrólowa.

*Marya Konopnicka.*

## PIERWSZA KOLENDA.

(Z podań pastuszków).

(Dokończenie).

— Kubusiu — zaczął mówić nieśmiało do towarzysza — ja tu nie останę sam, podczas gdy wy się wszyscy weselicie będziecie, a przecie pójść z wami nie mogę z pustymi rękami. Jak ty myślisz? ażebym ja tak owemu Dzieciatku na mojej fujarce zagrał, jak umiem najładniej i najwesелей — samem ją sobie wystrugał z wierzbiny i nad nią nic droższego nie posiadam na świecie?

— A co też ty pleciesz — szybko przerwał mu Kuba — a dyćby się Dziecina zakwiliła na wieki i do sądnego dnia byś jej nie utulił — zbawienie świata bez ciebie by przepadło, jakbyś po swojemu zawodzić począł. Zamiast cobyś Dzieciatko miał ucieszyć, toby się jeno spłakało.

Ot, nie ma innej rady, jeno niechaj będzie tak, jak bywało, pasales ty moją owcę razem ze mną, niechże ona i teraz będzie i twoją i moją — zaniemiemy ją obaj do stajenki, jeno, że ja ją Jezuskowi podam, a ty ją tylko za jedną nóżkę trzymać będziesz — co? zgoda? przestaniesz lamentować? — no powiedz?

Maciuś choć czuł w sercu wdzięczność dla Kuby, nie był jednakże zupełnie zadowolony — zawsze inna to rzecz ofiarować komuś całą, własną śliczną, owieczkę, a inna tylko przez grzeczność towarzysza być dopuszczonym do trzymania jej za jedną nóżkę, — ale uściskał Ku-



bę za jego dobre serce, a że więcej ufał w jego rozum, niż we własny — pogardzoną fujarkę schował za pazuchę.

Zabrawszy więc z sobą owieczkę i gwarząc już weselej, pastuszkowie wraz z innymi podążyli do stajenki.

Pełno już było ludzi przed nią, zaledwie się przecisnąć można było, takie zbiegowisko i ścisk tam panował. W największe święta w kościele takiego ścisku nie było.

Już i króle nadjechali z orszakiem tak, że cała stajenka lśniła od złota i drogich kamieni — a zresztą może i nie od złota, skoro nawet biedne dziurawe sukmanki zaczęły błyszczeć, jak gdyby były srebrnymi nićmi utkane.

W głębi stajenki na wiazce siana leżało Dzieciątko tak cudnej piękności, że kto raz na nie spojrział, oczu oderwać nie mógł i takiemu nigdy nie wyszło z pamięci.

Blask bijący, od Jego twarzyczki, w słoneczne niebo zamienił nędzną szopę drewnianą. Nad Niem klęczała Matka Najświętsza i otulała w grube pieluszki nagie ciało Bożego Syna, a Józef siwy, stojąc opodal, płaszczem własnym ochraniał ich od chłodu. Pasterze pierwsi przedarłszy się przez tłumy, — poklękali tuż przed żłobkiem, składając dary Dziecinie, na jakie ich stać było. I Kuba swoją śliczną białą owieczkę złożył u samych stóp Dziecinny, spojrzawszy na nią Najświętsza Panna i uśmiechnęła się łaskawie, ach, bo była taka biała i pieszczona, zupełnie podobna do wielkanocnego baranka!

Trzymał ci ją i Maciuś za białą nóżkę, ale tylko na większy swój żal, bo w tej chwili bardziej jeszcze niż kiedykolwiek uczuł, że ona nie była jego.

Następnie zbliżyli się uroczysto do żłobka trzej monarchowie ze wschodu i, stanąwszy przed Dzieciną, zaczęli bić pokłony.

I — oto nagle, płacz wielki, serdeczny, wstrząsnął zebrany tłumem. Jak kiedy wichur gnany od gór zakolysze najprzód szczytami drzew wyniosłych, a potem chyli ku ziemi krzewy drobniejsze, a nawet kłosa i kwiaty polne, tak i teraz pierwsi padli na twarze króle, mieszając z prochem stajenki mirrę, kadzidło, złoto i łyzy radości i upojenia. Zawtórowali im głośnieym łkaniem pasterze i lud zebrany. W płaczu tym drgały bóle świata całego, nędza i żal stęsknionych serc tysięcy, szarpał niemi dreszcz oczekiwania, potęgowany od wieków przez liczne proroctwa, zwiastujące przyjście Chrystusa i łyzy radości i wdzięczności dla Boga, że im danem było teraz własnymi oczyma oglądać Zbawiciela świata. Cała stajenka pełna była łez skarg i miłości.

Józef staruszek, podparłszy się na kiju, zakrył twarz rękawem od sukmany, patrzyła na rozrzewnienie ludu Najświętsza Panienska i także łezki, jakby perły najcenniejsze spływały po różowych policzkach na dziecięce posłanie.

I oto, słysząc wkoło tyle łkań i skarg bolesnych, zakwiliło Dzieciątko w żłobku. Z początku płakało cichutko, ale w miarę jak rósł krzyk, rozdzierający piersi ludu i ono coraz żałośniej zawodzić poczęło, aż uderzyło nagle w płacz tak gwałtowny i pełen boleści, że echem odpowiedziało mu sklepienie niebieskie.

Przerażanie owładnęło zebrany tłumem. Znikli królowie i pasterze. Matka Najświętsza, chwyciwszy Dziecię w objęcia, zaczęła je tulić do piersi i do snu kołysać piosenką, — strwożeni pastuszkowie klaskali w dłonie,

aby je czempredziej rozbawić, — barany zabeczały, jak tylko mogły najgłośniej; wół ryknął, koniki rzeć zaczęły, nawet siwi królowie brodatemi głowami w złotych koronach kiwali z jednego ramienia na drugie, ale wszystko daremnie, zastraszone i bólem świata zmartwione Dzieciątko płakało coraz żałośniej.

Wśród tłumu ukryty Maciuś z serdecznym współczuciem patrzył na łzami zalane oblicze Bożego Dzieciątka. Od pierwszego wejrzenia pokochał je sercem całym, pół życia byłby oddał, byle je widzieć wesolem i uśmiechniętem, a oto miast wesela, smutek wyglądał z oczek błękitnych, jak gdyby drobna Dziecina rozumiała łyzy wszystkie, krzywdy, i winy rodu ludzkiego. Ale czemuż ją zabawi?

Nagle przyszła mu na myśl wierzbowa fujarka, a nuż by on teraz dla tego Dzieciątka potrafił zagrać na niej wesoło — od ucha, tak, jak nigdy dotychczas nie umiał. Ukryta pod sukmaną gniotła go w piersi, nie radząc się więc tym razem nikogo, nawet mądrego Kubusia, wyciągnął ją szybko zza zgrzebnej koszuli i bez dłuższego namysłu do ust przyłożył.

I — o dziwo! popłynęła z niej po raz pierwsza nuta rzewna, śliczna, serdeczna — całą swoją pocziwą duszyczkę, całą moc kochania tchnął Maciuś w wierzbową fujarkę. Więc zaświegotały w niej głosy ptaszcemuszeki zabrzęczały na łąkach, żabki zarechotały w jeziorze, kukulka ozwała się w lesie, gruchnął basem gołąbek skowronek zatrzepotał skrzydełkiem, a konik polny, świeżakajac, potęcał o źdźbła i kłosa.

Zdawało się, że wkoło bzy zakwitły i konwalie, a wiosna, radość i dobroć przyszły w gościnę do ludzi. Rozkołysane dzwony kościelnej wieżyczki poczęły wygrywać jakąś melodię dotychczas nieznaną, pełną słodyczy i spokoju. Złoty się z niemi w jeden akord pienia aniołów wyśpiewujących gloria ponad stajenką i głosy zebranych pasterzy i króli. W serdecznej fujarce Maćkowej cała przyroda śpiewała Panu hymn pokoju, nadziei, wesela.

I słuchając jej, uciszyło się Dzieciątko Boże. Niebiański uśmiech rozjaśnił spłakaną twarzyczkę, a wyciągnąwszy rączkę pełną łask, pobłogosławiło piosenkę biednego Maciusia.

I odtąd brzmi nieustannie na całym Bożym świecie zarówno w ustach króli, jak i nędzarzy, ta pieśń zrodzona w sercu małego pastuszka, który, nie mając nic do dani swojemu Bogu, duszę mu własną wyśpiewał u żłobka.

*To była pierwsza kolenda.*

*Gabryela Zaleska.*

## Dzienniczek Wandzi.

(Dokończenie 2-ej części.)

Tuliłam się do mamy, to do ojczulka, który mi ciągle mówił, że tak źle nie jest, że możemy się jeszcze uratować, ale ja nic nie słuchałam. Oczy utkwiałam w kaptana, który głosem cokolwiek drżącym mówił, że wie, pędzi nas na pobliskie skały, że maszyny zepsute, silniki strzaskany i że tylko Bogu mamy się polecić, bo łódź



spuścić niepodobna, gdyż na pokładzie nie można się utrzymać. Wtedy ja Duchem św. jakby natchniona, zapomniawszy o mojej nieśmiałości, wystąpiłam naprzód, zerwałam z szyi obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, a wznosząc go w górę zawołałam głośno:

— Nous ne perirons pas Elle va nous sauver. Prions! padłam na kolana. Wśród głośniego łkania słyszałam głos kobiet i mężczyzn powtarzających za mną: „Sainte Marie, Mère de Dieu, priez pour nous. Ale ja wołałam głośno po polsku „Królowo nasza, módl się za nami, ratuj nas.”

W tej chwili stało się coś strasznego, Colombo wśród największego bujania nagle odskoczył w bok i stanął, przestając się zupełnie poruszać. Zrozumieliśmy, że toniemy, że okręt idzie na dno, bo burza szalała jakby nad naszymi głowami. Krzyk straszny, krzyk zgrozy i rozpacz wydobył się z piersi obecnych. Jedni w omdleniu popadali na ziemię, inni rzucili się do drzwi, ku pokładowi. Byliśmy z ojcem tam pierwsi. Jedną ręką objął mnie ojciec wół i niósł prawie, drugą ciągnął mamusię.

Nigdy nie zrozumieć, jakim cudem dostaliśmy się tam. Za nami walił się tłum ludzi, jedni spychali drugich, by zyskać na czasie. Na pokładzie zupełnie nie spodzianie ogarnęło nas powietrze chłodne, ale łagodne, lekki wietrzyk muskał nas po twarzy, jakby pragnąc nam wrócić przytomność. Colombo stał spokojnie, za ledwie trochę kołysząc się na fali, nigdzie śladu burzy, huraganu, bałwanów piętrzących się i wichru..

Cisza i spokój otoczyły nas. Z daleka tylko, z bardzo daleka, dochodziło wycie wichru, szum morza i łoskot fali; tu było spokojnie. Okrąglemi z przestrachu oczyma staliśmy wpatrzeni w paszczę ciemności, która tajemniczością swoją przerażała. Przytuleni do siebie, czekaliśmy rychło Colombo zacznie zanurzać się w wodzie i będzie trzeba zdać się na łaskę pasa ratunkowego i ciemnej głębi, w której czekała nas niechybna śmierć. Chwyciłam się oburącz jakiejś liny i pomimo, że byłam przekonana, że łada chwila okręt zacznie się usuwać z pod naszych nóg, trzymałam się jej oszalała i bezprzytomna z trwogi.

Ale w położeniu naszym nic się nie zmieniło, tylko coraz słabiej z daleka dochodził odgłos burzy i ciemności stawały się mniej grube, mniej nieprzeniknione. Nadzieja zaczęła kołatać do serc naszych.

Poczęliśmy oglądać się zdziwieni, że jeszcze żyjemy, nie śmiejąc zbyt wcześnie cieszyć się życiem.

Ziębnięci, wygłodniali, pół martwi ze strachu, wydarci prawie śmierci, doczekaliśmy się brzasku. Wschodzące słońce pokazało nam, gdzie jesteśmy i jakim cudem Opatrzność nas ocaliła.

Otoż w chwili, gdy Colombo pędzony wichrem miał się rozbić o nadbrzeżne skały, zmienił kierunek, przeleciał z błyskawiczną szybkością koło kamiennych gór i wpadł w zaciszną zatokę, otoczoną skałami. Ztąd ta niczem dla nas nie wytłomaczona nagle cisza i spokój, który wzięliśmy za tonięcie statku.

Widząc się ocalonymi, najobjętniejsi ludzie padali sobie w objęcia, ściskali się i płakali.

Kapitan przyszedł do mnie i powiedział: „Mademoiselle permettez que je vous embrasse, vous etes une brave enfant, digne de votre père.” I pocałował mnie w czoło.

Przez tę jedną noc przybyło mi wiele lat życia.

Kapitan rozkazał przygotować ciepłe śniadanie. Wybledli kucharze i garsoni z radością brali się do pracy, której już nie myśleli nigdy pełnić.

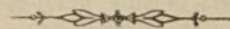
Powróciliśmy do kajuty, aby się położyć. Ale o spaniu nie było mowy. To, co przeszłam tej strasznej nocy było jednak dla mnie za wiele. Leżąc tak sobie w łóżku przy mamusi i ojczulku, podnosiłam co chwila głowę, patrząc, czy oni są tam rzeczywiście, czy żyją ci moi najdrożsi.

Na dworze robiło się coraz jaśniej, mogłam już wyraźnie widzieć ciemne włosy ojca na białej poduszce, i twarz mamusi zakrytą rękoma. I ona nie spała, modliła się. Podniosłam głowę i, zobaczywszy, że ojciec na mnie patrzy, wskazałam mu ręką okienko.

Promień słońca, wesoly i obiecujący pogodę, wpadł do środka kajuty, zapowiadając dzień piękny i cichy.

Tak zakończyły się te straszne chwile, które pozostaną na zawsze w naszej pamięci.

Stoimy teraz w małym *dépôt de charbon* (stacya węglowa) na wyspie Batam, gdzie nam trochę reperują Colombo. Dowlekliśmy się tutaj dzięki wielkiej umiejętności i poświęceniu kapitana, bo Colombo jest bardzo zrujnowany. Stąd udamy się do Singapore na dokładne odrestaurowanie.



## ROZWIĄZANIA DO N-ru 50-go.

Zgadki: Kos — sok.

### Łamigłówki w kwadracie:

- 1) S a n d a c z
- 2) S t r z a ł a
- 3) S z a f r a n
- 4) Ś w i s t a k
- 5) S z y s z k a
- 6) S ł o w n i k
- 7) S t a r z e c

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 51-go.

Szurady: Kor — sy — ka.

Rebusiku: Gwiazdka nadchodzi.

## Skryzanka do listów.

Wszystkie ofiary na wieżę Jasnogórską, przysłane w ostatnim tygodniu, ogłosimy w Nr. 1-ym roku przyszłego.

Felunia Roszkowska, która nie brała udziału w konkursie robót ręcznych, zwróciła nam kalendarzyk pamiątkowy, wysłany jej niewłaściwie. Prosimy więc jej imienniczkę, która stawiała do konkursu o wskazanie swego adresu dla przesłania tego kalendarzyka.

P. A. Cz. W nocy z d. 31 grudnia na 1 stycznia o północy odprawione będą we wszystkich kościołach msze św. na uproszenie Łask Boskich w nowym stuleciu.

Dobre rozwiązanie łamigłówek oraz zadania własnego układu nadesłali: Gustawa, Jadwiga i Roma Wejssówne (dlaczego nie



podają znaczenia wszystkich słów w arytmogryfie, tylko samo przysłowie?); Nimfa leśna, Ludwik i Mania Gardowscy, Chochlik, Rybka z Dubissy, Czarnuszka Zakrzowiecka, Stefan Glück, Biała Róża, Półdyable Weneckie, Hajduczek, Lilijka z Chmielnej, Sokolik, Konwalijska, Szarotka i Hela (tych czworo zrobiło omyłkę w 6 em słowie arytmogryfu z Nr. 49), Stokrotka z za gór, Stokrotka i Maryńcia Illicka.

Politechnikowi. Proszę adresować do Redakcyi „Wieczorów” z dopiskiem: dla Jaskółki.

Maryni Wołodk. nagrodę wystaliśmy.

Ostatni to raz piszę do was w XIX-ym wieku; wydaje mi się to jakoś dziwne, a i wam pewnie? Redakcyja każe mi się bardzo streszczać z powodu braku miejsca, więc jeżeli komu nie dam odpowiedzi w tym numerze, to otrzyma ją już w XX em stuleciu. Pospieszam podziękować serdecznie tym, którzy mi przysłali życzenia i opłatki. W chwili, gdy to piszę, cała Warszawa zajęta jubileuszem naszego znakomitego pisarza Henryka Sienkiewicza, a ja przycinam się wam: pod sekretem, że czytałam już jego list dla Wieczorów, który będzie wydrukowany w Nr. 1-ym roku przyszłego

Jak mogłaś nawet przypuszczać Zielona Żabko, że zajmujący twój list może mnie znudzić! Bez znudzenia, lecz ze szczerem współczuciem odczytywałam opis niemiłych przygód, przez jakie przechodziliście. Są to niestety przykrości codziennego życia, które każdy w tej lub owej formie, w mniejszym lub większym stopniu przechodzić musi. Cała sztuka polega na tem, aby nie przypisywać im zbyt wielkiego znaczenia i znosić nie tylko z cierpliwością, lecz i dobrym humorem, aby nie przysparzać jeszcze kłopotu rodzicom. Mam nadzieję, że gdy się już zakończyły te wszystkie niemiłe przejścia, nie pozostawisz mnie w długim oczekiwaniu następnego listu, a pamiętaj, że listy twe odczytuję z wielkiem zajęciem. Wieczór R. wdzięczny za pamięć.

Białej Róży. Babunia jeszcze się do Redakcyi po książkę nie zgłosiła, ale naturalnie, że wasz wybór będzie uwzględniony. Musicie mieć prawdziwe zdolności artystyczne, kiedyście tak długą i nie łatwą do przedstawienia komedję, jak „Stłuczone garnki” odegrały. Bardzo się cieszę, żeście razem z Jagódką i Maliną przystępowały do Komunii Św. Ten wspólny dzień uroczysty jeszcze bardziej łączy rodzeństwo z sobą i przywiązanie ich utrwała.

Pojmuję, Chochliku, tęsknotę twoją i że ją listy i wieści z kraju najlepiej osładzają. Wieści te przynoszą ci pisma, ja do nich dorzucę tylko słówko pozdrowienia, a legendy, o której wspominasz, oczekiwać będę; oddam ją Redakcyi dla oceny. Jeżeli nie otrzymałaś dotąd odpowiedzi ode mnie, Nimfo leśna, to dlatego jedynie, że poprzednie listy do mnie nie doszły. Po książkę zgłoś się wprost do Redakcyi, wybraawszy sobie którą z listy w Nr. 1-ym podanej. Wańdzia, która pisze dzienniczek, obchodzi teraz święta gdzieś aż nad Oceanem Spokojnym. Szarada twoja wymaga pewnych poprawek.

Wpadł mi w ręce list Bohdanka Stanisza do Redakcyi; bardzo już dobrze piszesz, Bohdanku! Trzeba koniecznie, żebyś do mnie napisał.

Stokrotce i Stokrotce z za gór, jednej blizkiej, drugiej dalekiej nie odpisuję teraz dłużej. Chciałabym, żeby Stokrotka zobaczyła, jak jej imienniczka z za gór ładnie i porządnie pisze, chociaż w ostatnim jej liście widzę postęp na lepsze, a i treść prawdziwie ciekawa. W tym roku wyjdą 52 numery „Wieczorów”, tylko raz na 6 lat bywa ich 53.

Zapytujesz mnie, Janko S., skąd się dowiedziałam, że nie lubisz sama czytać powiastek, lecz chcesz koniecznie, żeby ci je czytano. A czyż to u was nie ma jaskółek? One zewsząd przylatują do mnie i opowiadają, co gdzie widziały. Ja wiem jeszcze wiele innych rzeczy; wiem, że pewna Janka je przy stole tak powoli, powoli, że wszyscy na nią czekać muszą i zaniast na talerz, rozgląda się na wszystkie strony; wiem też, że nie lubi utrzymywać w porządku swoich zabawek i lalek, ale myślę sobie, że po Nowym Roku cwa Janka pozbędzie się tych wad, a jaskółki tę przyjemną wiadomość mi przyniosą.

Ostrożnie, Hajduczku, ze swym kuceni, kiedyś z niego już aż 5 razy spadła. Pseudonym twój mi się podoba, ale nie upoważnia do zbytniego lekceważenia zasad ostrożności. Pisuj do mnie częściej. Książkę otrzymać możesz, tylko wskaż Redakcyi, którą wybierasz z listy, podanej w Nr. 1-ym.

Pierwszy to list twój do mnie, Te-Be, ale znam cię z listów do Redakcyi, a zwłaszcza z wypracowania twego, którego ustępów jedynie z braku miejsca w końcu roku Redakcyja zamieścić nie mogła. Jesteś jedną z najlepszych stylistek z grona naszych korespondentek i szkoda, żebyś talent do pióra zaniedbywać miała, tembardziej, że jak sądzić mogę, serce masz gorące, a główkę umiejętnie zapelniasz. Pisuj do mnie jak najczęściej; wiele mamy wspólnych upodobań, a między innemi i zamiłowanie do tych samych stron, w których ja wprawdzie lato tylko spędzam. Dina K. mieszka na wsi w okolicach Pińska.

Uprzejma propozycya korespondowania Ukrainki nie tylko przyjemność, lecz poniekąd i zaszczyt sprawia, że taka „staruszka” chce do mego gniazdko zastukać. Czy zawsze będę umiała dobrze poradzić, nie wiem, ale że z całego serca, to pewnie.

Miło mi, że chociaż z powodu książki, którą ci już wysłałam, przypomniłaś mi sobie Białą Myszkę z Kaz., wprawdzie ciężkie twoje zmartwienie, kłopoty i wyjazdy, usprawiedliwiają to długie milczenie, oby ci rok przyszedł być szczęśliwszy i weselszy. U nas do tych czas ani śniegu, ani mrozu nie było. Czas bardzo brzydki.

Niewiem czy prośba Orła z Z. o autograf otrzyma jaki skutek, nawet wątpię, ale znasz pewnie przysłowie łacińskie: audaces fortuna juvat. Za przesyłkę książki należy się 10 k.

Kropelka z nad Drysy, Rybka z Dubissy, Australia, Natka D., Szarotka, Czarny Żuczek i Półdyable Weneckie otrzymają odpowiedzi ode mnie dopiero w przyszłym numerze. Tymczasem żegnam wszystkich moich korespondentów do przyszłego roku i wieku

Wasza Jaskółka.

Wieczór R. na zapytanie Wichury o łyżwiarstwa i Longinusa o wyrobieniu siły, odpowie także później.

Otrzymał: Nasze swojejskie A. B. C. z wierszykami Or—Ot’a i licznymi kolorowanymi rycinami. Nakład F. Kasprzykiewicza.

Pensyonarki. Trzy opowiadania Marrene-Morzkowskiej dla dziewczynek kop. 40 w kart. kop. 50.

**Zeszyt kop. 10. (Z przes. poczt. kop. 14).**

Nowe ilustrowane tanie wydanie dzieła

OLGA PROKOPA Kapucyna

**Żywoty Świętych Pańskich**

na wszystkie dni roku

z dodaniem do każdego pożytku duchownego i właściwej modlitwy, tudzież na wszystkie uroczystości i święta.

**KRÓTKIE NAUKI**

„Żywoty Świętych” wychodzić będą począwszy od dnia 10 grudnia r. b. w 20-tu tygodniowych zeszytach z wizerunkami świętych w formacie dużej 8-ki po cenie kop 10 za zeszyt.

Kto od razu opłaci w Warszawie rub. 1 kop. 80, a z prowincyi nadeszle rb. 2 kop. 40 otrzyma całe dzieło.

Skład główny w Towarzystwie Akcyjnym Odlewni Czcionej i Drukarni S. Orgielbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście 66. Nabywać można we wszystkich księgarniach.

NAJWIĘKSZY WYBÓR

**Ubrań dzieciennych**

W MAGAZYNIE

**JANINY**

w Warszawie Marszałkowska Nr. 151.